

Co ma piernik do Matiza

Niedawno spotkałam się ze stwierdzeniem, że podobno Krakusy to Poznaniacy wygnani z Pyrlandii za rozrzutność ☐

Wprawdzie nie mam pojęcia, skąd się to wzięło, bo większości moich krakowskich znajomych kasa się raczej nie trzyma, ale nie o tym felieton, zatem przejdźmy do rzeczy.

Między byciem kutwą, a utracjuszem jest dużo miejsca i gdzieś tam na pewno się plasuję, acz mam na swym koncie nieliczne finansowe fanaberie, kiedy to świadomie przepłaciłam, płacąc cenę z kosmosu. Trzy razy. Włoskie kozaki, kafelki do kuchni oraz czajnik. Ten ostatni tak mnie zachwycił, że mniej więcej w okolicach roku 1999 zabuliłam za niego chyba ze cztery stówki. Trzeba upaść na głowę, ale i prezent „kochanej sobie ja” raz na jakiś czas można przecież zrobić, prawda? A on był taki czadowy... Matowy inox, ciemnoszare wykończenia i fikuśnie zakręcana pokrywka. Co prawda czajnik ów pewnego wieczora doprowadził do zwarcia i o mały włos wszyscy nie poszliśmy z dymem, ale nie o tym chciałam.

Ech, te moje dygresje ☐

Otóż w okolicy milenium, pewnego kwietniowego dnia, kiedy nareszcie wyszło upragnione słońeczko i zrobiło się ciepło, jadąc moim turbo odrzutowym pojazdem marki Daewoo Matiz, poczułam we wnętrzu nieprzyjemny zapach. Wiedziona węchem, zawędrowałam pod maskę. Niestety. Jakiś szczur widać postanowił dokonać tam żywota i patrząc na jego stan (tu oszczędzę szczegółów), musiało być to dość dawno temu. Trzęsąc się z obrzydzenia i udając palpitację serca, pobiegłam po pomoc do sąsiada. Biedny chłop. Cóż miał zrobić? Wyrzucił co się dało, ale ślad po nieboszczyku pozostał.

Zawsze miewałam odkrywcze pomysły, więc również i tym razem wykazałam się kreatywnością, i aby osobiście nie dotykać

miejsca szczerzego zgonu, wytaszczyłam z piwnicy karchera. W ostatniej chwili oprzytomniałam i poszłam po rozum do głowy, że samochodowa elektryka może nie przeżyć tak szeroko zakrojonej akcji oczyszczającej, i jak człowiek, poszłam po wodę z solą. Zagotowałam wrzątek, posoliłam i z parującym czajnikiem wróciłam na podjazd. Spróbowałam połączyć. Woda ledwie ciurkała, a wypadaloby porządnie chlupnąć, więc zdjęłam pokrywkę, chlupnęłam i dokończyłam czyszczenia. Zadowolona z akcji zostawiłam otwartą maskę, żeby wszystko elegancko się wysuszyło i wróciłam do domu.

Niedługo po tym wpadł do nas kolega. Posiedział z godzinę, a jak już wychodził poprosiłam, żeby po drodze zatrzasnął mi maskę w samochodzie.

Nazajutrz o ósmej rano umówiona byłam u mechanika na wymianę klocków hamulcowych, co to mi je dzień wcześniej jakiś zdolny artysta założył nie tak jak potrzeba, więc w pośpiechu zignorowałam męża mego, który z braku pokrywki na czajniku uznał, że kolega zapewne nam ją, mówiąc oględnie, dmuchnął.

– Nie dmuchnął, tylko leży na trawniku przy podjeździe – rzuciłam przez ramię i spóźniona pobiegłam do auta. Po drodze spojrzałam na trawnik, ale nie znalazłszy pokrywki pojechałam do warsztatu.

Mniej więcej wtedy wprowadzono w tamtym ASO wkurzający przepis, zabraniający klientom wchodzenia na halę napraw, więc poirytowana, że nie mogę doglądać naprawy, a pewnie znów coś sknoca, zrobiłam sobie kawę i zasiadłam w poczekalni. Przeczytałam jakąś gazetę o samochodach i z nudów oddałam się myślom o czajniku, a w szczególności o pokrywce. W głowie odtworzyłam sobie całą akcję i naraz doznałam olśnienia.

– Wiem! Kurczę! Wiem! Odkręciłam ją i położyłam ją obok. Na filtrze powietrza! Matko, a to taki drogi czajnik! – pomyślałam ogarnięta paniką i mając gdzieś zasady, sforsowałam drzwi do warsztatu. Chyba w oczach musiałam mieć obłęd, bo

nikt nie ośmielił się zwrócić mi uwagi. Szef zmiany nawet się nie zająknął.

Na hali obraz moim oczom ukazał się przedni.

Tu należy nadmienić, że kolor wykończeń tudzież rzeczonyj pokrywki na moim bajeranckim czajniku, idealnie wprost odpowiadał kolorowi plastików występujących w Matizie, Nubirze i w niektórych wersjach Lanosa. No wypisz wymaluj 😊

Pewna, że na tysiąc procent po drodze zgubiłam nieszczęsną pokrywkę, z bijącym sercem poszukałam stanowiska. Nie było to trudne. Wokół mojego auta zgromadzili się chyba wszyscy mechanicy w tej zmiany. Było ich co najmniej dziesięciu. Z namaszcczeniem przekazywali sobie tajemniczy przedmiot z rąk do rąk i komentowali fachowo.

Zanim z rozwianym włosem dobiegłam, mych uszu doszło:

„Od czego to, kurwa, jest? Od wlewu chyba nie... Może to jakaś starsza wersja? Od Nubiry może... Mamy tu jakąś? A zbiornik na płyn do spryskiwacza sprawdziłeś? Może to stamtąd? Nie wiem, stary... Naprawdę, kurwa, nie wiem...”.

Szczęśliwa, z ulgą przejęłam zgubę.

– Och, jak to dobrze, że się znalazła! – zaszczebotałam uradowana. – Bałam się, że mi wypadła po drodze!

Mężczyźni zamilkli i tylko spojrzeli na mnie dziwnie.

– Ale od czego to jest? Bo my tu główkujemy od kwadransa, z jakiego to auta? – zapytał jeden.

– No jak to, od czego? Od czajnika przecież! – powiedziałam z tryumfem i spokojnym krokiem poszłam do poczekalni dopić kawę, i już na luzie przeczytać kolejne motoryzacyjne czasopismo.

Kurtyna 😊